# Bliżej nieba

KATE BRESLIN

**Tytuł oryginału:**
High As the Heavens

**Autor:**
Kate Breslin

**Tłumaczenie z języka angielskiego:**
Elżbieta Zawadowska

**Redakcja:**
Agata Tokarska

**Korekta:**
Natalia Lechoszest
Dominika Wilk

**Skład:**
Alicja Malinka

ISBN 978-83-65843-65-4

© 2017 by Kathryn Breslin by Bethany House Publishers
© 2018 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2018, wydanie I

Druk: drukarnia Read Me

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book 2.0 80g
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o. o. antalis™

Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiejkolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

# Bliżej nieba

KATE BRESLIN

Tłumaczenie **Elżbieta Zawadowska**

# Rozdział 1

## Bruksela 1917

Słowa spadały z nieba niczym manna. Évelyne Marche złapała jedną z niebieskich ulotek fruwających nieopodal Pałacu Królewskiego i spojrzała na jej treść, chociaż znała ją już na pamięć. Uniosła głowę, chcąc wypatrzyć samolot, teraz zasłonięty ciemnymi chmurami na październikowym niebie. Cichy jęk silnika mieszał się z kanonadą artylerii dochodzącą z frontu i Évelyne natychmiast poczuła znajomy ból wywołany wspomnieniem innego miejsca i czasu.

Zerknęła na trzymaną w ręce ulotkę. „Odwagi, nadchodzi ocalenie" – głosiły drukowane słowa.

To nie pierwszy raz dzielny aliancki lotnik przechytrzył działa przeciwlotnicze, by przynieść mieszkańcom Brukseli odrobinę nadziei. Przez te trzy lata padało wiele takich obietnic, lecz żadnej z nich nie dotrzymano miastu pod niemiecką okupacją, gnębionemu wojną. Z każdym kolejnym gradem ulotek powracał ból pamięci o tych, których straciła: o wuju, o siostrze, bracie... i o mężczyźnie, którego kochała.

Dni i noce wlekły się bez końca, a powtarzane na okrągło te same puste obietnice aliantów stawały się powoli męczące,

nawet irytujące w swojej naiwności, gdyż nie mogły się spełnić. Aż do dziś.

Nerwowe wyczekiwanie przyprawiło ją o przyspieszone bicie serca, zerknęła znów na chodnik usłany niebieskimi ulotkami. Właśnie skończyła dyżur pielęgniarski w szpitalu polowym zaaranżowanym naprędce w Pałacu Królewskim i wciąż miała w pamięci rozmowę z francuskim kapralem, Jeanem Duvalem.

– Nadchodzi ocalenie – powtórzyła szeptem i tym razem obietnica nabrała nowego znaczenia.

Wcześniej udało się jej ustalić miejsce pobytu Nicolasa i Zoé.

Wstrząsała nią burza uczuć. Éve nie mogła zapomnieć o niemieckim szturmie na belgijskie miasteczko uniwersyteckie Louvain sprzed trzech lat. Tej nocy zniknęli jej siostra i brat, a matka nie wiedziała, czy leżą pogrzebani pod ruinami, czy zostali wywiezieni do niemieckiego obozu pracy.

*„Twój brat i siostra byli w transporcie, ale niedaleko Liège udało im się uciec razem z moimi kuzynami do Francji”*. Éve było niezwykle trudno w to uwierzyć. Jej zdawkowe pytanie o rodzinę pacjenta sprowokowało opowieść o tym, jak jego cioteczni bracia, Armand i Michel Rousseau, poznali Zoé i Nikkiego w pociągu wiozącym jeńców do obozu. Całej czwórce udało się uciec na południe, w kierunku Anor we Francji, niedaleko granicy belgijskiej. To był naprawdę cud.

Éve pragnęła jak najszybciej przekazać tę nowinę matce, więc prędko pozbierała ulotki i upchnęła je do kieszeni fartucha. Przynajmniej z papieru był jakiś pożytek, na ich niezadrukowanych stronach matka rysowała szablony do koronek, które wyrabiała.



Éve poprawiła chustę, otuliła się ciaśniej kobaltowoniebieską peleryną i ruszyła w drogę ulicą Sols – od kawiarni wuja i ciotki dzieliły ją trzy przecznice. Marie i Lucien Bernard mieli też mieszkanie nad kawiarnią, do którego przyjęli Éve i jej matkę po zniszczeniu Louvain.

Kobieta przyspieszyła kroku na myśl o tym, jak ogromną radość sprawi matce wiadomość o jej dzieciach. Dzieciach... Już absolutnie nimi nie byli. Nicolas miał skończyć wkrótce czternaście lat, a Zoé była już od jakiegoś czasu osiemnastolatką.

Éve spojrzała na zegarek. Wpół do piątej. Szkoda, że nie odbyła tej rozmowy z kapralem w poprzednim tygodniu, zaraz po tym, gdy do nich trafił, a nie dziś, tuż przed jego wyjazdem do szpitala jenieckiego w Niemczech. Biuro paszportowe było już o tej porze nieczynne.

Zdławiła niecierpliwość. I tak, zanim mogła w ogóle pomyśleć o uzyskaniu pozwolenia na wyjazd z Brukseli, musiała najpierw opracować plan przekroczenia granicy okupowanej Francji, znaleźć rodzeństwo i przerzucić je do Belgii.

Jakby tego nie wystarczyło, upływający czas działał na jej niekorzyść. Zdaniem kaprala sytuacja we Francji wyglądała równie ponuro jak w Belgii, tutaj również Niemcy zmuszali młodych mężczyzn powyżej czternastego roku życia do pracy we frontowych okopach. A Nikkiemu pozostało do urodzin zaledwie parę tygodni. Był przecież jeszcze dzieckiem, a już mógł się znaleźć w ogniu walki, w której musiałby albo zabijać, albo dać się zabić.

W jej myśli wkradł się nagle obraz z przeszłości. *Błysk noża... zakrwawiony szary mundur... i również szare oczy chłopca, rozszerzone ze zdziwienia.*

Odepchnęła wspomnienia, choć poczucie winy i smutku jeszcze pozostało. Przystanęła na chwilę, odetchnęła głęboko i powzięła ważną decyzję. Musiała odnaleźć Nikkiego i Zoé, a następnie ściągnąć ich do Belgii. Tutaj mogła zorganizować im przerzut do Holandii, a potem do domu, do Anglii.

Szybkim krokiem poszła dalej i już wkrótce dostrzegła kawiarnię. Jak zwykle na widok tak wielu mundurów poczuła napięcie. Niemieccy żołnierze zalali cały ogródek kawiarenki Chez Bernard, siedzieli przy pięknie nakrytych stolikach, śmiali się, żartowali i palili cygara z obciętymi końcami. Wydawali się nie pamiętać o wojnie; spokojnie napełniali brzuchy *Rindergulaschem*[1] wuja Luciena, przyrządzanym z mięsa z puszki, i *Spätzle'ami*[2] w belgijskim stylu, popijając to wszystko belgijskim piwem z pianką.

Zapach jedzenia wywołał u niej skurcze żołądka, kiedy wchodziła po zewnętrznych schodach do swojego mieszkania. *Pijcie dalej* – pomyślała, obrzucając żołnierzy przelotnym spojrzeniem. Za pół godziny miała zmienić fartuch pielęgniarki na fartuszek kelnerki. Pomagając wujowi i ciotce, mogła uzyskać użyteczne informacje od podchmielonych niemieckich gości.

– Siostro!

Zesztywniała i odwróciła się na schodach. Kilku żołnierzy pomachało jej ręką na powitanie. Rozpoznała w nich byłych pacjentów i lekko skinęła głową.

1 *Rindergulasch* (niem.) – gulasz wołowy, z sosem pomidorowo-paprykowym w stylu węgierskim.

2 *Spätzle* (niem.) – niemieckie kluski kładzione, przyrządzane z mąki, jajek i mleka, wyciskane bezpośrednio na wrzącą osoloną wodę, podawane najczęściej ze skwarkami lub kiełbasą.



Éve bardzo zależało na utrzymaniu wizerunku siostry Marche z Belgijskiego Czerwonego Krzyża, gdyż ta rola zapewniała jej większe bezpieczeństwo, nawet gdy pracowała w kawiarni. Asystowała przy operacjach wielu żołnierzy, zakładała im szwy, kąpała, ocierała pot z czoła. Ten intymny kontakt sprawiał, że stęsknieni za ojczyzną, samotni żołnierze nie dopatrywali się w jej działaniach niczego więcej, aniżeli tylko pielęgniarskiej troski.

Szła dalej po schodach, myśląc o tym, co przyniesie wieczór. Ostatnio odnosiła wrażenie, że coraz mniej Niemców mieszka w Brukseli. Tego ranka dowiedziała się nawet, że wielu stacjonujących w mieście, łącznie z agentami tajnych służb i ekipą generała von Falkenhausena, miało otrzymać rozkaz wyjazdu na front.

Odnotowała w pamięci, żeby o tym zameldować, i weszła do mieszkania. Czekał ją wyjątkowo długi wieczór. Po zakończeniu pracy w kawiarni musiała jeszcze pojechać na rowerze na obrzeża Forêt de Soignes po zapowiadany zrzut. Rozkaz od MI6 z Rotterdamu brzmiał jasno: „Odbiór paczki o 23. Klasztor Groenendaal". Dolina Groenendaal stanowiła część lasu Soignes, a paczka oznaczała agenta, Éve nie wiedziała jednak, czy ma go potem zawieźć z powrotem do miasta, chociaż było to z pewnością wykonalne, nawet na rowerze. Tak czy inaczej, do doliny jechała dopiero na jedenastą wieczorem, więc po pracy miała szansę na krótką drzemkę.

Musiała się przebrać, ale najpierw postanowiła porozmawiać z matką. Przeszła przez foyer, a potem przez krótki korytarzyk i zatrzymała się w kuchni, patrząc z ulgą na podłużny stół i puste krzesła, wolne od niemieckich stołowników.

Okupacja sprowadziła do Brukseli tysiące wojskowych, którzy zajmowali wszystkie wolne pokoje i hotele, gdyż cesarz Wilhelm II przekształcił miasto w swój prywatny garnizon. Wielu Belgów musiało zakwaterować w swoich domach niemieckich żołnierzy. Dwaj oficerowie użytkujący obecnie drugi poziom mieszkania byli ostatnimi z długiej listy gości, przez których panowała tu teraz nieznośna ciasnota.

Éve zaczęła się zastanawiać, czy porucznicy Wolfe i Kraus jedzą już na dole kolację. Jeżeli tak, nadarzała się okazja, by przeszukać ich pokoje. Weszła dalej do mieszkania. Po prawej znajdowała się największa sypialnia należąca do jej wuja i ciotki, na wprost mieścił się pokój, dawniej zwany szwalnią. Mama spędzała tam większość czasu. Éve przystanęła przy drzwiach. Louise Marche przycupnęła na krześle pod wychodzącym na wschód oknem, ubrana jak zwykle w ciemną spódnicę obszytą czarną krepą. W jej kasztanowatych włosach widniały siwe pasma, głowę pochylała nad stolikiem z tuzinami drewnianych klocków z nićmi, z których kilka tańczyło w jej palcach, wyrabiających nową koronkę.

– *Bonjour*[3], mamo – odezwała się Éve. – Jak się masz?

Louise uśmiechnęła się lekko i popatrzyła z roztargnieniem na córkę, zwracając ku niej orzechowe oczy.

– Czy to ty, Zoé?

Pytanie, zadane wysokim, cichym głosem, rozdarło serce Éve. Wojna zmieniła wszystkich, ale w szczególności mamę, niegdyś tak piękną i pełną życia. Éve wciąż pobrzmiewał w pamięci jej śmiech, którym odpowiadała na żarty swego męża, profesora Nicolasa Marche'a, gdy siedzieli przy

3 *bonjour* (fr.) – dzień dobry



rodzinnym stole, a tata bawił bliskich anegdotami o studentach. Ale to należało już do przeszłości, do czasów sprzed śmierci taty, do świata, w którym nie było wojny.

Mama wróciła do swych klocków, lekki uśmiech nie zniknął jednak z jej ust. Wydawało się, że myślami wciąż wędruje w tamtych lepszych czasach.

– Mamo, to ja, Éve.

– Ależ oczywiście. – Kobieta podniosła wzrok i tym razem na jej twarzy malowało się skupienie. – Nie przejmuj się, *ma petite*[4]. Czasem, gdy tak tutaj siedzę, myślę o Zoé i Nikkim. Na chwilę udaje mi się zapomnieć.

Jej oczy zasnuł na moment cień smutku, jednakże zaraz wróciła do pracy przy najnowszej robótce.

Przed wejściem do pokoju Éve chciała podzielić się z matką dobrą nowiną, ale teraz zawahała się lekko. Kapral Duval już od wielu miesięcy nie utrzymywał korespondencji z kuzynem, Armandem Rousseau. A jeśli Nikkiego i Zoé nie było już w Anor? Wokół szalała wojna, wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Mogli przecież uciec z miasta.

Popatrzyła na wyniszczoną smutkiem twarz matki i postanowiła zaczekać. Mama wycierpiała dotąd więcej, niż mógł wytrzymać człowiek. Éve nie chciała jej dawać fałszywej nadziei.

– Jadłaś kolację? – spytała zamiast tego.

Matka nie brała prawie niczego do ust, choć wuj Bernard z uwagi na kawiarnię otrzymywał większe niż inni, chociaż i tak niewystarczające, przydziały jedzenia. Stało się to możliwe, ponieważ posiłki z Chez Bernard wysyłano Niemcom, również do ekipy generała von Falkenhausena.

4 *ma petite* (fr.) – moja mała, moja dziecinko, moja córeczko

– Mamo? – naciskała Éve, gdyż matka wciąż nie odpowiadała.

– *Oui*[5]. Teraz, *chère*[6], pozwól mi wrócić do pracy. To ostatnia, specjalna koronka dla *madame* Bissette. Muszę ją skończyć na wieczór, tak jak inne na sprzedaż.

Évelyne popatrzyła na misterną robótkę w stylu koronek z Brugii, której wykonanie kosztowało naprawdę mnóstwo pracy. Żony niemieckich oficerów przychodzące do butiku *madame* Bissette przy Grand-Place z radością witały każde dzieło jej matki, gdy tylko pojawiało się w sklepie.

„Specjalną" koronkę, którą mama musiała upleść szybciej niż zwykle, *madame* Bissette przekazywała natomiast kupcowi wyrobów włókienniczych z Brukseli. Stamtąd robótka wędrowała na frachtowiec płynący przez rzekę Skaldę do Holandii, a dalej do siedziby kwatery głównej brytyjskich służb specjalnych w Rotterdamie.

Éve patrzyła z podziwem na poruszające się szybko palce matki, która wplatała w koronkę zaszyfrowaną informację, zawierającą niezmiernie ważne dane dla aliantów – liczbę oddziałów niemieckich, koni i artylerii przyjeżdżających i odjeżdżających z dworca kolejowego w Brukseli.

– Zabiorę ją rano – powiedziała w końcu Éve. – Przyniosłam ci też ulotki, na których możesz rysować wzory. Trochę się pogniotły, ale postaram się je wyprasować. – Odwróciła się do drzwi. – Muszę się teraz przygotować do pracy, zajrzę do ciebie później.

Éve weszła na schody prowadzące na kolejne piętro i przystanęła pod drzwiami pokoju poruczników. Nasłuchiwała

5 *oui* (fr.) – tak
6 *chère* (fr.) – droga, kochanie



chwilę, a potem lekko zapukała. Przekonana, że zeszli na dół na kolację, wślizgnęła się do środka.

Ich spartańskie zwyczaje nie uległy zmianie. Bliźniacze łóżka były starannie posłane, w szafie zaś wisiały dwa szare mundury. Na drewnianej komódce leżały dwa zestawy past i szczotek do butów, w kącie stały dwa płócienne plecaki, obok nich karabiny oparte o ścianę.

Z mocno bijącym sercem nadstawiła ucha, ale nie dochodził do niej żaden podejrzany dźwięk. Rozpoczęła poszukiwania, najpierw wsunęła ręce pod materace, następnie sprawdziła szuflady komódki, plecaki i szafę.

W kieszeni jednego z mundurów znalazła list adresowany do porucznika Krausa, nadany przez kwaterę główną generała von Falkenhausena w Pałacu Królewskim. Wysunęła ostrożnie wiadomość z koperty i szybko przebiegła ją wzrokiem, wdzięczna już nie po raz pierwszy za lekcje niemieckiego w Somerville.

List zawierał rozkaz powrotu na front w Passchendaele w terminie dwóch tygodni. Szybko przeszukała kieszenie drugiego munduru i znalazła podobny list adresowany do porucznika Wolfe'a. Znów zaczęła się zastanawiać nad masowymi wyjazdami Niemców z Brukseli. Czyżby naprawdę można było mieć nadzieję na to, że sprawy przybrały dla nich zły obrót? Przegrywali wojnę?

Nie znalazła nic nowego, co miałoby znaczenie dla aliantów. Zmarszczyła czoło, schowała listy do kopert i weszła na schody prowadzące na strych, gdzie mieszkała, żeby się przebrać. Zapowiadało się na to, że już niedługo przybędą do nich nowi niemieccy lokatorzy, znów zaczną naruszać ich prywatność i w dodatku nie wiedziała, kim będą. Może

nawet funkcjonariuszami tajnej policji? Na samą myśl aż się wzdrygnęła.



– Dzięki Bogu, jesteś wreszcie! – powitał ją lekko zasapany wuj Lucien. Stał za barem. Jego przerzedzone ciemne włosy były zaczesane na bok, a okrągła twarz przybladła. – Te szkopy zachowują się, jakby nic nie miały w ustach od miesiąca, po prostu pożarły mój gulasz i szpecle. – Rąbkiem fartucha otarł spocone czoło. – Podawałem im jedzenie, Laurette sprzątała stoliki, a i tak nie mogliśmy z tym wszystkim nadążyć.

Laurette była córką sąsiadów, państwa Fontaine'ów. Pan Fontaine nie popierał pracy córki w firmie, która karmiła Niemców, jednak jego pragmatyczną żonę cieszyły dodatkowe pieniądze dla rodziny.

– Zacznę, jak tylko porozmawiam z ciocią – powiedziała Éve, zdejmując biały fartuszek z haczyka wbitego w ciemną boazerię za barem.

Wewnątrz kawiarni wszystkie stoliki były zajęte, lecz i tak dwa razy tyle żołnierzy zasiadało w kawiarnianym ogródku. Towarzyszyły im belgijskie dziewczyny, które z tego powodu spotykały się z ostracyzmem ze strony rodaków niemogących im wybaczyć bliskich kontaktów ze „szwabami".

Éve dostrzegła, że jedna z dziewcząt próbuje przypudrować siniaka na policzku, i zamarła, gdyż znów powróciły do niej wspomnienia tamtych zdarzeń. *Leży na ulicy... człowiek z bliznami na twarzy przyciska ją do chodnika, próbuje wydobyć krzyk z zaciśniętego gardła...*



Zadrżała, zaczerpnęła powietrza i odepchnęła od siebie ten obraz. Niewielu ludzi rozumiało fakt, że większość tych kobiet nie miała innego wyboru; kiedy którąś z nich zaczynał się interesować jakiś niemiecki żołnierz, potrzeba przeżycia i lęk przed głodem okazywały się silniejsze niż troska o godność czy reputację. Éve sama doświadczyła pogardy ze strony Belgów. Nie dość, że pracowała w szpitalu prowadzonym przez Niemców, to jeszcze zarabiała pieniądze w firmie wuja serwującej posiłki wrogom.

W kuchni zastała Laurette, która zmywała naczynia, a ciocia Marie stała przy żeliwnej kuchni i mieszała parujący gulasz w ogromnym garnku, jednocześnie pilnując szpecli skwierczących w rozgrzanym tłuszczu na patelni obok. Włosy ciotki wysunęły się spod błękitnej chusty i udekorowały kołnierz fartucha połyskującą falą barwy miodu.

Odwróciła się do Éve.

– Dzięki Bogu! Jak to dobrze, że jesteś!

– Wuj mówił, że macie mnóstwo pracy.

Ciocia Marie prychnęła ze złością i przyjrzała się Éve.

– Ładnie wyglądasz.

Éve poprawiła białą chustkę na głowie i wygładziła zniszczoną fioletową spódnicę. Tego dnia odważyła się nawet spryskać wodą różaną.

– *Merci, tante*[7].

Ciotka zerknęła na Laurette i znów wróciła spojrzeniem do Éve.

– I musisz to nosić? – bardziej stwierdziła niż zapytała, wskazując podbródkiem na coś, co najwyraźniej budziło jej irytację.

7 *Merci, tante* (fr.) – Dziękuję, ciociu